



## Bogusław Nizieński

część I z IV

Sygnatura notacji: **N0838**  
Data urodzenia: **02.03.1928 r.**  
Data nagrania: **14.10.2014 r.**  
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudół**  
Czas nagrania: **część I: 54 min, część II: 49 min, część III: 59 min,**  
Format nagrania: **video** **część IV: 60min**  
Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Bogusław Nizieński:** Co pamiętam, to pamiętam i mogę panu...

**Tomasz Sudół:** Jakby mógł pan powiedzieć, gdzie pan się urodził i gdzie...

**Bogusław Nizieński:** Gdzie urodziłem się? W przepięknym polskim mieście Wilnie, 2 marca 1928 roku w szpitalu wojskowym na Antokolu. W tym czasie mój ojciec, oficer zawodowy, żołnierz legionów, który służył w Siłach Zbrojnych Polski od sierpnia 1914 roku, został przeniesiony do Warszawy, do 30. Pułku Strzelców Kaniowskich i w roku 1924, kiedy zorganizowano Korpus Ochrony Pogranicza, został jako człowiek pewny przeniesiony do służby właśnie w KOP-ie na Wileńszczyźnie, potem na Nowogródzczyźnie w batalionach KOP-u i z tego tytułu, że obawiał się, ażeby się nic złego mamie nie wydarzyło, to ją ulokował w szpitalu wojskowym na Antokolu. Tam ja się urodziłem i stąd moja miłość do tego wspaniałego miasta Wilna, w którym my... Tak się składa, że żona również pochodzi z Wileńszczyzny, Bostrok. Ja jestem co roku na wypoczynku miesięcznym u rodziny żony, stąd żyję ciągle tym Wilnem i stąd moja działalność w oddziale w Warszawie, Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej i we władzach naczelnych Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej z siedzibą w Toruniu. Moje związki z Wilnem były bardzo krótkie w tamtym czasie. Potem znalazłem się w Cieszynie, bo ojciec mój został przeniesiony po czterech latach służby w KOP-ie do... Batalionu Piechoty Rezerwy w Cieszynie, 5. Batalion. A potem przeniesiony zostałem... znaczy, został mój ojciec, do 23. Pułku Piechoty imienia Pułkownika Lisa-Kuli we Włodzimierzu Wołyńskim i tam spędziłem cztery lata, a w 1934 roku ojciec mój został przeniesiony do 3. Pułku Piechoty Legionów w Jarosławiu. Do tego Pułku, z którym w sierpniu 1914 roku wyszedł do boju o Polskę i tam pozostał do września

1939 roku na stanowisku II Zastępcy Dowódcy Pułku, a w czasie kampanii wrześniowej Zastępca Dowódcy Ośrodka Zapasowego 2. Dywizji Piechoty Legionów. Dostał się do niewoli sowieckiej pod Złoczowem. Udało mu się z obozu przejściowego zbiec. Spotkał się z mamą ojca we Lwowie, u brata mojej mamy, w którym ojciec nas w tym czasie już poszukiwał na miejscach, gdzie rodziny wojskowe z Jarosławia były przewiezione, bo była to taka ewakuacja rodzin wojskowych, ażeby nie dostały się w ręce niemieckie. I popełnił może ten błąd, że chciał nas koniecznie przeprowadzić do Jarosławia, żeby zobaczyć, w jakich warunkach nas pozostawi, bo był już przygotowany do marszu na Węgry ze Lwowa. Miał wrócić do Lwowa. Tymczasem to się nie udało. Został zadenuncjowany, że wrócił do Gestapo. I Gestapo ojca aresztowało. Ale przekazało go do tworzącego się obozu jenieckiego Arnswalde. Obóz numer II A. A potem do największego obozu jenieckiego oficerskiego w Woldenbergu, II C, skąd powrócił w styczniu 1945 roku. Po powrocie z obozu jenieckiego został pozyskany do pracy podziemnej w Narodowej Organizacji Wojskowej, ponieważ brak był właśnie oficerów w tej organizacji, więc ojciec mój na pierwszy zew stanął do służby w tej organizacji. To się skończyło niedobrze, bo najpierw był aresztowany w 1946 roku przez organ informacji Ludowego Wojska Polskiego, ale udało mu się jeszcze wyjść na wolność po trzech tygodniach. Aresztowany był przez organ 9. Drezdeńskiej Dywizji Piechoty w Przemyślu, ale potem niestety, kiedy niektórzy poszli na ujawnianie się, a ujawnił się mój profesor późniejszy, dyrektor Muzeum Astronomicznego na Śląsku. No, już tym razem mu się nie udało. Został aresztowany w grudniu 1949 roku, czy 1948 roku, 6 grudnia. Również mama moja w tym czasie została aresztowana. I ojciec przeszedł kaźnię poprzez informacje Ludowego Wojska Polskiego w Krakowie. Stanął przed Sądem Okręgowym Wojskowym numer V. Skazany został na siedem lat więzienia. Został zwolniony w czerwcu 1952 roku, ze szpitala więziennego go odebrałem, bo mama po raz drugi się znalazła w więzieniu, więc ja go odbierałem. Ale to już był nie do uratowania człowiek. Zresztą mojemu ojcu powiedzieli w więzieniu we Wronkach: „Wy to wyjdziecie, Nizieński, przez czwarty pawilon stąd”. A czwarty pawilon to było określenie trupiarni, bo były trzy pawilony i ten czwarty, gdzie były składowane zwłoki więźniów, którzy pomarli. I prawie tak się stało. Zaledwie dwa miesiące żył, a już był nie do uratowania, bo przeszedł bardzo ciężki dramat w tym więzieniu. Zmarł, pochowany został w Krakowie. Potem ekshumacja zwłok i pochowany jest w Warszawie na cmentarzu wojskowym na Powązkach, gdzie jest grobowiec naszej rodziny. Więc przynajmniej tyle, że zmarł już w szpitalu wolnościowym. Mama była aresztowana dwukrotnie za działalność podziemną. Pierwszy raz w tym samym dniu, kiedy ojciec był aresztowany, 6 grudnia 1948 roku. A drugi raz to już był bardziej przypadek, ponieważ moja ciotka ukrywała cichociemnego ze rzutu jeszcze w czasie okupacji niemieckiej, który ukrywał się w Warszawie. To rotmistrz służby stałej, Andrzej Czajkowski, pseudonim „Garda”. I mama zaniepokojona, że nie ma kontaktu z moją ciotką, nie wiedząc, bo takie były wymogi konspiracji, że tam ukrywa się rotmistrz Czajkowski. Rotmistrz broni pancernej służby stałej, poszła do ciotki mojej i wyszła dopiero po dziewięciu miesiącach śledztwa toczonego przez bezpiekę w Krakowie. A niestety rotmistrz „Garda”, Andrzej Czajkowski, został zamordowany w więzieniu przy Rakowieckiej w Warszawie w 1953 roku w październiku. Jest szansa, że może będzie odkopany, jeżeli pozwolą władze nasze na dalszy ciąg ekshumacji. Tyle o rodzicach. Jeśli chodzi o mnie, to ja zacząłem tu w Warszawie jako 13-letni chłopak, mieszkałem w bloku w Funduszu Kwaterunku Wojskowego, gdzie były same rodziny wojskowe i tam byłem wykorzystywany do przenoszenia prasy podziemnej do zaufanych ludzi. A kiedy wróciłem do Jarosławia na jesieni 1941 roku, to zająłem się, można powiedzieć, pewną zabawą, po której można było się także dostać w ręce Gestapo. Wywieszaniem na różnych punktach miasta naklejek z napisem: „Tylko świnię siedzą w kinie, kiedy nasi ludzie giną w Oświęcimie”. Poza tym spotkałem się z ówczesnym porucznikiem

służby stałej z 3. Pułku Piechoty Legionów, młodszym kolegą mojego ojca, który dostał się do tak zwanej niewoli honorowej po poddaniu się załogi Modlina i stamtąd wszyscy oficerowie z białą bronią zostali zwolnieni i zanim Gestapo się nimi zajęło, on zdążył wstąpić do Służby Zwycięstwu Polski i tu zaczął swoją karierę konspiracyjną. Kiedy ja się z nim spotkałem, to on powiedział mi, że on potrzebuje do służby młodego chłopca, a już miałem wtedy 14 lub nawet 15 lat i że ten obowiązek muszę wypełnić jako syn oficera, który jest w niewoli i nie może czynnie walczyć z okupantem niemieckim. Dla mnie to była radosna wiadomość i od tego czasu ja związałem się bardzo, bardzo mocno emocjonalnie z ówczesnym porucznikiem, późniejszym, awansowanym 11 listopada 1944 roku do stopnia kapitana, z kapitanem Władysławem Kobą, pseudonim „Rak”, który był najpierw oficerem sztabu, znaczy, Komendy Obwodu Armii Krajowej Jarosław, a w 1943 roku, chyba w jesieni, został dowódcą plutonu dywersyjnego. Jego zastępcą był jego brat rodzony, podporucznik służby stałej Roman Koba, który dostał się w łapy Gestapo w styczniu 1944 roku. W maju 1945 roku wyszedł z obozu koncentracyjnego i znalazł się w Szwecji, i już do Polski nie wrócił. Dopiero po roku 1989, bo był w Szwecji. Tam pełnił obowiązki prezesa Kongresu Polaków w Szwecji. I on w czasie okupacji był właśnie zastępcą swojego brata Władysława Koby. Ja się dostałem wtedy do plutonu dywersyjnego pod pseudonimem „Sokół” i rozpocząłem służbę łącznika, a także i żołnierza plutonu dywersyjnego. Miałem pierwsze spotkanie już jako żołnierz plutonu dywersyjnego 31 grudnia na 1 stycznia 1944 roku, kiedy pod dowództwem porucznika Władysława Koby, pseudonim „Rak”, został wykonany przez część dowodzonego przez niego plutonu dywersyjnego, wypad na obóz pracy tak zwanych junaków Hauwinger, który był zlokalizowany na terenie Szówska po drugiej stronie Sanu. Porucznik Koba brawurowo zorganizował ten wypad. Przygotowywał go spory czas, ale tak, że to było wszystko dograne co do minuty. I w śniegu brnęliśmy przez ponad godzinę wzdłuż Sanu, lewym brzegiem Sanu i w nocy dobiła do nas drużyna plutonu dywersyjnego obwodu przeworskiego, w której znalazł się, niestety potem stracony, „Cieśla”. Dwóch braci, jeden przez całą okupację był więźniem obozu koncentracyjnego. Drugi walczył w dywersji. Niestety i jeden, i drugi zginął zamordowany przez bolszewicką polską bezpiekę. Więc ta drużyna dywersyjna dołączyła do naszej grupy. Ja, ponieważ strażnik na prowizorycznym moście prowadzącym przez San na drugą stronę uciekł na widok zbliżających się partyzantów czy dywersantów, porucznik Koba powiedział: „Nie możesz z nami iść. Masz tu mój pistolet i musisz tego człowieka pilnować, tylko wtedy, gdyby albo próbował ciebie zaatakować, albo uciekać, musisz niestety, ale strzelać do niego, bo on może zaalarmować Niemców”. Więc ja w takiej budce strażniczej pilnowałem tego strażnika mostowego do momentu, kiedy nasi już rozprawili się z załogą niemiecką tego obozu, zdobywając chyba 18 karabinów, bardzo dużą ilość amunicji, granatów i trzy radia. I to wszystko przenieśliśmy w ciągu nocy z nad Sanu do schronu w lesie w Pawłosiowie. Tuż za drogą z Jarosławia do Przeworska, szosą, po której w nocy tej sylwestrowej jechali Niemcy, pojazdy wojskowe, myśmy skokami na drugą stronę szosy się przeprawiali i tam po drugiej stronie rozstaliśmy się z tą drużyną przeworską, która pomaszerowała do swojego miejsca postoju, to znaczy do Przeworska, a my obciążeni karabinami, po dwa karabiny na człowieka i bardzo oszczędnym zatrzymywaniu się w marszu, bo trzeba było się zmieścić przed świtem jeszcze. Maszerowaliśmy już od szosy do schronu w lesie w Pawłosiowie. To był jeden z sześciu schronów, jeżeli dobrze pamiętam. Nawet znaleźliśmy przed trzema czy czterema laty materiały dotyczące wymiarów tych schronów, lokalizacji schronów i ja popełniłem artykuł na temat właśnie schronów należących do Komendy Obwodu, a ściślej do plutonu dywersyjnego AK Jarosław i to się pokazało w tym miesięczniku, potem kwartalniku jarosławskiego AK. I myśmy dotarli do skraju lasu w Pawłosiowie. Tam już na nas czekali ludzie z drużyny pawłosiowskiej, wchodzącej w skład plutonu dywersyjnego i tam myśmy tę zdo-

byczną broń, amunicję, granaty i radia złożyli. Z tym, że te trzy aparaty radiowe zostały po jakimś czasie z tego schronu zabrane i przyniesione do mieszkania, do jednego pokoju, w którym mieszkałem z moją mamą. Bo już mieliśmy jedno radio, które pracowało codziennie na falach Londynu i z którego moja mama robiła skróty. Ja nauczyłem się pisania na maszynie i pod dyktando pisałem biuletyny informacyjne i następnie po napisaniu biuletynu roznosiłem w Jarosławiu do ludzi pewnych, co do których można było być spokojnym, że nigdzie nie ujawnią tego, od kogo otrzymują te biuletyny. I stąd był taki czas, że trzy zdobyczne radia właśnie z tego Szówska, znalazły się w dyspozycji dowódcy plutonu dywersyjnego. Były schowane na strychu zbiorowym dużego domu w Jarosławiu przy ulicy Kraszewskiego 22, bo tam z mamą po wyrzuceniu nas z willi przy Kraszewskiego 28, która została zajęta przez Grenzschutz niemiecki w tym czasie, kiedy na Sanie była granica niemiecko-sowiecka, to w tej właśnie willi, w której mieszkał I Zastępca Dowódcy 3. Pułku Piechoty Legionów, podpułkownik Jan Wójcik i mój ojciec jako II Zastępca Dowódcy Pułku, z tej willi zostaliśmy wyrzuceni z mamą. W ogóle, jeżeli chodzi o rodzinę podpułkownika Wójcika, oni od razu usunęli się z Jarosławia do Rzeszowa i przetrwali... I tak jak i podpułkownik Wójcik, który działał w konspiracji rzeszowskiej. Tak że było to zbiorowisko aparatów radiowych. Te radia zostały rozdane przez „Raka”, dowódcę plutonu naszego dywersyjnego, osobom, które te radia były potrzebne do nasłuchów. Bo nie wiem, czy pan o tym wie, że nawet miał być zrzut broni na terenie Jarosławia przy audycji londyńskiej. Na zakończenie audycji zawsze szły fragmenty pewnej melodii. I kiedy myśmy mieli to nasze radio aż do czasów sowieckich, służyło nam jeszcze i w czasie, kiedy byli Sowieci, to tam miała być nagrana pieśń jedna z Moniuszki, już dzisiaj nie pamiętam. „To rozkosz, to rozkosz jedyna...”. W każdym razie, kiedy ja usłyszałem, to już miałem wtedy rozkaz zawiadomić porucznika, lekarza wojskowego 3. Pułku Piechoty Legionu, który był w konspiracji, ażeby już się przygotować do rzutu. Mnie spotkał wielki zawód, ponieważ dowódca plutonu dywersyjnego zabrał mnie ze sobą na ten zrzut, który miał być pod Próchnikiem i pod kościołem Marii Panny w Jarosławiu, kiedy dotarliśmy tam z porucznikiem Kobą, komendant obwodu, kapitan Wojciech Szczepański, pseudonim „Julian”, zapytał, potem byliśmy bardzo ze sobą związani, co ten młody chłopak tu robi. Zameldował porucznik Koba, że: „to jest mój łącznik”. On się nie zgodził, żebym ja uczestniczył w zrzucie, ale na szczęście, czy nieszczęście, do zrzutu nie doszło. Samolot nie dotarł. W każdym razie była próba, bo była nagrana melodia, która oznaczała, że ten samolot wystartuje z bazy. Już nie pamiętam, czy to było na terenie Włoch, czy na terenie Wielkiej Brytanii, ale była próba zrzutu broni i amunicji dla obwodu Jarosław. Ale dla mnie skończyła się ona niepowodzeniem. Potem przyszedł duży dramat. Mianowicie dobrze mi znany konspirator, młody człowiek, 22 lata. Gdy będzie kiedyś może pan coś na ten temat pisał, to warto byłoby wspomnieć o jego bohaterstwie. Ja z moją świętej pamięci mamą mieszkałem w jednym pokoju w mieszkaniu czteropokojowym. W drugim pokoju, od którego byliśmy oddzieleni tylko korytarzykiem, mieszkał oficer niemiecki. Prawdopodobnie to był stopień Hauptmanna, który był instruktorem w oddziałach Własowa w Jarosławiu. Myśmy, to znaczy, mama i ja, wypatrzyliśmy, że do tego mieszkania, gdzie my mieszkamy i gdzie kwateruje niemiecki oficer, przychodzi jakiś żołnierz w mundurze niemieckim, który miał na ramieniu oznakowanie, że jest żołnierzem oddziału Własowa. I on zabiera pistolet maszynowy, który jest w szafie. On go na przeczyszczenia tam brał. Ja zameldowałem porucznikowi Kobie, że jest taka sytuacja, że przychodzi taki żołnierz, nie Niemiec, i zabiera temu niemieckiemu oficerowi tę broń. Nie wiem, czy do przestrelania, czy do oczyszczenia, bo przecież ja tam z nim nie chodziłem, gdzie on tę broń zanosił. No i kapitan, późniejszy kapitan Koba, zainteresował się tym pistoletem maszynowym PPSz i nakazał Henrykowi Szatapakowi, pseudonim „Hejnar”, tę broń zabrać. Przyszedł „Hejnar” i przyszedł Gil - nazwisko, „Hałatnik” - pseudonim, z Jarosławia,

żołnierz plutonu dywersyjnego. Przyszli do naszego mieszkania, mojej mamy nie było, bo pracowała. W mieszkaniu naszym, w moim tym mieszkaniu przebrał się „Hejnar” w mundur wlasowski, to znaczy, niemiecki z oznakami wlasowskimi, bo ten, kto ten mundur nosił, poszedł do lasu do oddziału majora Prokopa, pseudonim „Prokop”. Więc i mu już ten mundur był zbędny, tylko do ewentualnego wykorzystania w akcjach. Przebrał się świętej pamięci Henio w ten mundur. Ja pobiegłem do osoby, która była właścicielką tego całego czteropokojowego mieszkania. To była pani, której mąż, podpułkownik w stanie spoczynku, był na Węgrzech. Ja jej powiedziałem, że przyszedł wlasowiec i chce zabrać pistolet maszynowy. I ona się zdumiała, ale wyszła do niego, a on jej łamaną polszczyzną powiedział, że kapitan jemu kazał zabrać ten do przeczyszczenia i ona była zdumiona, ale powiedziała: „Proszę zabierać”. I on zabrał, Szałapak. Proszę sobie wyobrazić, on zszedł z bramy, bo myśmy to widzieli z okna naszego pokoju. My, to znaczy, Hałatnik i ja, że akuratnie jak on wyszedł w tym mundurze żołnierza wlasowca, zatrzymał się samochód, łazik nasz taki niemiecki z żołnierzami i oficerem. I oni zawołali „Hejnara”. I on był na tyle spokojny, że przyszedł, pamiętam jak dziś, zsalutował z wyciągniętą ręką z pozdrowieniem „Heil Hitler” i okazało się, że oni chcieli dostać informację, gdzie mają skręcić do koszar Hermann Goring Kaserne, które były w czasach polskich koszarami 39. Pułku Strzelców Lwowskich, a dzisiaj jest tam szpital dla nerwowo i psychicznie chorych. I „Hejnar”, nie zdradzając się w żaden sposób, że on jest przecież przebrany żołnierzem i ma ten pistolet maszynowy, powiedział, jak mają zajechać. Oni ruszyli, widzieliśmy, że skręcili w ulicę Kościuszki, w tym kierunku, bo potem on nam to opisał. I ten człowiek zginął. Zginął w maju 1944 roku. Niemcy, znaczy Gestapo, polowało na Raka, czyli porucznika Władysława Kobę. Wyznaczali nagrody pieniężne za wskazanie miejsca ukrywania się i on u nas w naszym pokoju, ze mną spał. Względnie spał w takim pokoju, gdzie kwaterował Ukrainiec, który potem został powołany do służby w tej Dywizji „Hałyczyna”. Proszę sobie wyobrazić, że on się ukrywał korzystnie pod Jarosławiem i razem z Szałapakiem, świętej pamięci „Hejnarem”, byli w Bystrowicach i nadziali się na patrol żandarmerii niemieckiej. Obydwaj byli uzbrojeni, bo mieli pistolety. Nie mogli pozwolić na wylegitymowanie ich, bo nie mieli dokumentów stosownych. Podjęli ucieczkę. Żandarmi zaczęli strzelać do nich z PM-ów. Porucznikowi Kobie udało się dobiec do lasu. „Hejnar” został trafiony. Padł na przestrzeni otwartej, nie dobiegł do lasu. I kiedy żandarmi dobiegali do niego, on strzelił sobie tutaj, żeby nie dać się w ich ręce, bo on próbował się bronić. Widocznie już amunicja mu się kończyła i on odebrał sobie życie. To był duży cios dla porucznika Koby, który mnie na następnego dzień wysłał dla ustalenia, gdzie leży „Hejnar”, żebym się zgłosił do człowieka z placówki AK w Bystrowicach. To był pracownik poczty i on mi pokazał, gdzie Henryk Szałapak został zakopany. Pod takim bzem. Tam Niemcy nakazali to zrównać, nie w formie żadnego grobu. I on mówi: „Tu leży”. I potem, kiedy weszli Sowieci w lipcu 1944 roku do Jarosławia, dokonano ekshumacji Henia Szałapaka, który jest dla mnie niedoścignionym wzorem bohaterstwa i tego spokoju, jaki go cechował. Niestety on już do obozu partyzanckiego nie doczekał. Natomiast ten „Hałatnik”, Gil, został wezwany razem z innym żołnierzem z plutonu dywersyjnego do lasu i ja zostałem również powiadomiony, to był czerwiec, że mam się stawić w lesie w oddziale partyzanckim. Że ma mnie doprowadzić człowiek z Nowego Miasta nad Sanem i ja w ten sposób, najpierw poprzez łączniczkę z Leżajską, dotarłem do Leżajskiej. Tam oczekiwałem na dotarcie „Hałatnika” i tego drugiego żołnierza z Jodłówki pod Próchnikiem. Niestety oni nie dotarli, a ja w następnym dniu zostałem przewieziony z Leżajskiej do wsi Kuryłówka, do przewiezienia do obozu partyzanckiego. I to się udało. Ja się zameldowałem w nocy w namiocie porucznika Koby, który był tam oficerem oddziału partyzanckiego, ale nie przyniosłem szczęścia temu oddziałowi. Dlatego, że 28 na 29 czerwca, kiedy już oddział nie mógł pozostawać w lesie, bo las był otaczany przez elementy 21. Kałmuckiej Brygady Kawa-

lerii, która spacyfikowała lasy janowskie, gdzie ojciec Jan z kolei dowodził oddziałem partyzanckim. Oni się przesunęli i w lasy Kuryłówki w powiecie leżajskim, mieli oczyścić te lasy. Ponieważ w tym samym lesie obozowali ze zrzutu pochodzący partyzanci sowieccy i jeszcze inne oddziały sowieckie, podjęto decyzję już poprzedniego dnia, kiedy lał taki deszcz, oni przyszli do obozu, do namiotu kapitana, późniejszego kapitana Koby, do omówienia, jak należy wydobyć się z tego otoczenia. I 28 na 29 czerwca kapitan Szpak, dowódca całego zgrupowania partyzanckiego w tym lesie poprowadził nas w kierunku na lasy janowskie, bo była nadzieja, że skoro lasy janowskie już są przeczyszczone, to trzeba tam maszerować. Stało się inaczej. Wiele wskazuje na to, że mogła to być zdrada. Dostaliśmy się w pułapkę ogniową elementów tej 21. Kałmuckiej Brygady Kawalerii. No i rozgorzał bój w nocy. Przeżyłem wtedy, nie kryję tego, szok. Bo to była strzelanina, którą spowodowali z jednej strony Kałmucy, którzy walili wszystkim, co mieli, a z drugiej strony nasz oddział plus Sowietci, którzy nie licząc się z tym, że na przykład jest przed nimi grupa polskich partyzantów, ja w tej grupie byłem, otworzyli ogień i szły te kule dosłownie nad głowami. No i zostali ludzie poranieni. Dowództwo odwołało próbę przebiccia się. Wróciliśmy do tego samego obozowiska, które opuściliśmy wieczorem. Tam już się schronili ludzie ze wsi pobliskiej. Ja dostałem polecenie, że mam razem z czterema żołnierzami uzbrojonymi odwieźć rannych do wsi Kuryłówka i zawiadomić tamtejszą placówkę, że w nocy spróbuje się część zgrupowania partyzanckiego naszego polskiego przebić przez San na drugą stronę. I myśmy przewozili tych ludzi. Pamiętam, że kapitan Szpak, który został ranny, myśmy wieźli siedmiu rannych. Jeden [niezrozumiałe, 00:42:09] prawdopodobnie zginął, to z lubaczowskiej drużyny, bo nigdy nie wrócił do miejsca swego zamieszkania ani też nikt się z nim więcej nie spotkał. Był tam taki incydent, że spłoszyły się konie taborowe. On był właśnie wozakiem. I prawdopodobnie, bo ja to widziałem te konie, bo byłem obok tej drogi. One go zawlokły do Kałmuków i oni się chyba z nim rozprawili, bo nigdy więcej nikt o nim nie słyszał. W każdym razie... to, że udało się przejść na drugą stronę dzięki temu, że Kałmucy nie chcieli prawdopodobnie przejść Sanu. Oni próbowali zniszczyć to wszystko przed Sanem. No i niestety, ale dopadli naszych rannych. Mnie już w tym momencie nie było, bo ja musiałem dojść do dowódcy placówki w Kuryłówce i powiedzieć o tym, że należy przygotować drogę odwrotu dla naszych. I niestety zostali spaleni. Wszyscy, z tym że kapitan Szpak odebrał sobie życie. Pamiętam, jak jechaliśmy tymi wozami. Któryś z żołnierzy, który ochraniał rannych, zwrócił się do kapitana Szpaka, żeby mu dał pistolet, który miał zawieszony na sznurze spadochronowym. A on powiedział: „Nie, nie dam, bo może mi być jeszcze potrzebny”. I istotnie, był mu potrzebny, bo przynajmniej jego zwłoki nie zostały spalone, bo reszta spalona została żywcem. Kapitan Szpak odebrał sobie życie, unikając tej śmierci. A potem przyszła jeszcze akcja „Burza”, gdzie komendant obwodu, ten sam, który nie chciał mnie dopuścić do obecności przy zrzucie broni, sięgnął po mnie jako po łącznika, bo powiedział do mnie: „jesteś już otrzaskany bojowo”. I ja przez pięć dni byłem łącznikiem jego w Jarosławiu w czasie walk o Jarosław. Bo to trwały te walki pięć dni i pod gradem tych katusz wypełniałem zadania bojowe razem z innym łącznikiem. Nie wiem, czy pan wie, tam w Jarosławiu jest taki Zespół Szkół Budowlanych przy ulicy Świętego Ducha. I myśmy w czasie wykonywania przewozu meldunku zatrzymali się w tym gimnazjum, bo tam Niemcy mieli skład amunicji w salach szkolnych. I myśmy podeszli do tego. Paliło się już, ale jeszcze było jedno wejście nieobjęte ogniem. Wpadliśmy do takiej sali szkolnej, która nie była zajęta ogniem i stamtąd wynieśliśmy taśmy ckmowskie, granaty i do worka, który mieliśmy ze sobą. Proszę sobie wyobrazić, zaledwie zdążyliśmy wyjść z tego płonącego budynku, to było gimnazjum I w czasie naszych czasów polskich, i przejść do bramy domu stojącego vis a vis, kiedy zajechał motocykl z Feldgendarmierie. Oni wyskoczyli z pistoletami do tego budynku i to tylko zbieg okoliczności, że zdążyliśmy przed nimi opuścić ten

budynek, bo tam by nie było żadnej zabawy, tylko byłaby śmierć jeszcze w ogniu. I potem już czasy sowieckie, dalszy ciąg pracy w Komendzie Obwodu już przy kapitanie „Julianie”, czyli Wojciechu Szczepańskim, a porucznik Koba został skierowany do Przemyśla, ponieważ bezpieka już rozpoczęła jego poszukiwanie. Udało mu się w Przemyślu pod obcym nazwiskiem. Ja mu taką zresztą kenkartę wystawiałem i ona jest w jego aktach Sądu Wojskowego Rejonowego w Rzeszowie. Spotkałem tę kartę, którą pisałem na maszynie dla niego. On pod obcym nazwiskiem Marcin Gruda działał w konspiracji w Przemyślu. Został awansowany do stopnia kapitana w dniu 11 listopada 1944 roku i do 1946 roku działał w WiN-ie. Najpierw w WiN-ie przemyskim, a potem jako szef, ostatni szef WiN-u na okręg Rzeszów. Przyjeżdżał do Krakowa i oczywiście był zawsze przeze mnie ukrywany w pokoju w domu akademickim, w którym mieszkałem. A mogłem sobie na to pozwolić. Spaliśmy w tym jednym łóżku, bo na drugim łóżku spał podchorąży Bruzda, Bałut z Niska, który już niestety nie żyje, więc tu nie było problemu, a dla kapitana Koby to był bardzo wygodny schowek, bo w domu akademickim, gdzie multum ludzi przechodziło przecież, musiałyby zginąć, kiedy by go obserwowwała bezpieka. Ale to trwało niestety tylko do czasu, ponieważ 25 września 1947 roku ja po raz ostatni żegnałem się z kapitanem Kobą, bo on był na naradzie w obszarze WiN-u, obszar Południe, Kraków. I dwa dni później został w Przemyślu aresztowany. Jego śledztwo trwało półtora roku, zanim doszło do rozprawy. To znaczy, śledztwo trochę krócej. Potem on już w zamku rzeszowskim przebywał. Wojskowy Sąd Rejonowy w Rzeszowie skazał go na karę śmierci. Najwyższy Sąd Wojskowy ten wyrok utrzymał w mocy i 31 grudnia 1949 roku został wykonany na nim ten bestialski, bezprawny wyrok. I teraz ja zabiegam o to, ażeby profesor Szwagrzyk, ponieważ miejsce zakopania zwłok jest prawdopodobnie pewne, jego i dwóch jego podkomendnych, którzy w odstępach 15-minutowych zostali straceni, jest łatwość odkopania tego, bo to jest tuż przy kwaterze bojców sowieckich. Profesor Szwagrzyk powiedział, że na pewno tę ekshumację przeprowadzi. Rodzinie, resztkom rodziny kapitana Koby bardzo zależy na tym, ażeby spoczął obok swojej żony i swojej córki w Przemyślu. Bo odszedł człowiek, który rzeczywiście służył Polsce bez względu na to, czy nagradzano go, czy go nie nagradzano. Miał tego pecha, że był oficerem zawodowym, co nie wszystkim odpowiadało. I że był oficerem służby stałej w tym Jarosławiu. Potem służył w WiN-ie. Najpierw w NIE, potem w WiN. I ostatnie stanowisko służbowe to był Szef Okręgu Rzeszów WiN i na tym stanowisku został aresztowany, i zamordowany. Udało mi się natomiast dzięki pomocy ludzi życzliwych doprowadzić do postawienia pomnika kapitanowi Kobie na placu przy Bazylice Najświętszej Marii Panny w Jarosławiu. Pomnik, który robił rzeźbiarz Dariusz Jasiewicz, prezes Stowarzyszenia Miłośników Jarosławia. I stoi tam ten pomnik człowieka, który urodził się w Jarosławiu, mieszkał w Jarosławiu. Cała rodzina Kobów to rodzina jarosławska. On służył w 3. Pułku Piechoty Legionu w Jarosławiu, służył w konspiracji jarosławskiej i przyszło mu polec w takich strasznych warunkach. Moja mama, która była również więźniarką bezpieki rzeszowskiej, mówiła, że siedziała z takimi więźniarkami, które miały kontakt z kapitanem Kobą alfabetem Morse’a przez ścianę celi i stąd było wiadome, że był niemiłosiernie bity przez oprawców z bezpieki, którzy chcieli na nim jako szefie WiN-u na Okręg Rzeszów zdobyć jak najwięcej wiadomości. Było nawet i tak, że go wynoszono na noszach.